ADAM PODKOWA

TAJNA BROŃ NATO

MOSKWA, 1983
ZIMNA WOJNA
TRWA DALEJ.
TYLKO TERAZ
TOCZY SIĘ
W SIECI._



DEPARTAMENT THETA

NIKOMU NIE UFAJ.
ZWŁASZCZA SOJUSZNIKOM.

THRILLER SZPIEGOWSKI

Adam Podkowa

Departament Theta

BEZPŁATNY FRAGMENT

Rozdziały 1 i 2

© 2026 Adam Podkowa

Projekt okładki: Canva

Pełne wydanie: pierwsze
Polska, 25 marca 2026 r.

ISBN pełnego wydania PDF: 978-83-974155-4-6

Bezpłatny fragment promocyjny.
Obejmuje rozdziały 1 i 2, bez prologu.
Nie jest pełnym wydaniem książki.

Wszelkie prawa do utworu zastrzeżone.

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest wyłącznie przypadkowe.

Spis treści

Rozdział 1 — Wrogie służby specjalne — Jarek

Strona 5

Rozdział 2 — Elita wśród elit — Edek

Strona 16

Rozdział 1 – Wrogie służby specjalne – Jarek

Siedzę dokładnie w tym samym miejscu, co osiem lat temu. Może nawet na tym samym, drewnianym krześle. Przede mną te same masywne drzwi odgradzające tę samą świetlicę przesłuchań od tej samej obskurnej poczekalni.

Przewodniczący komisji też jest ten sam. Z tym samym potencjałem intelektualnym, co dawniej, choć jego możliwości niestety nie są te same, co wtedy.

Za chwilę spotkamy się pewnie w tej samej sprawie, co kiedyś, lecz teraz przy tych samych wnioskach końcowych, skończy to się na pewno nie tak samo jak poprzednio.

Spoglądam na drzwi wejściowe, przez które za chwilę wejdę, by wysłuchać jakichś politycznych bredni. Oczyma wyobraźni widzę tego pilota, co przez nie wychodził lata temu.

Jest taki poziom absurdu, po przekroczeniu którego człowiek orientuje się, że to tylko sen. Jedni budzą się w takim momencie od razu, inni próbują wyreżyserować coś niemożliwego, by, choć przez chwilę poczuć rozkosz pobytu w świecie, gdzie żadne bariery nie istnieją.

On w pierwszym momencie chciał z furią trzasnąć drzwiami, ale się powstrzymał i zamknął je w cywilizowany sposób, po czym ugiął lekko kolana i wyciągnął dłonie ku górze.

Pamiętam to, jakby to było wczoraj.

Nie widział mnie. Zachowywał się naturalnie jak każdy Supermen, który za chwilę wzbije się w powietrze.

– Uważaj na sufit! – ostrzegłem go dobrodusznie.

Mężczyzna zastygł w pozycji startowej, obracając jedynie głowę w moją stronę. Nie wiem, czym był mocniej zszokowany, czy tym, że nie jest jednak sam, czy tym, że gdyby udało mu się wzbić w powietrze, zdekonspirowałby swoje nadprzyrodzone moce przy osobie postronnej.

Przez chwilę wydawało się, że chce zatrzeć te dziwaczne wrażenie i huknąć w złości, że to wszystko, to jakiś absurd. Odchrząknął jednak tylko nerwowo, nie wiedząc przecież, kim jest ta dziwna postać, która przed sufitem go ostrzega.

Szybko przeistoczył swój nieudany start w coś na kształt telemarku, zakończonego próbą zasznurowania poprawnie zawiązanego buta.

– Do widzenia – rzekł w końcu zmieszany i pogodzony z tym, że się wiarygodnie nie wybroni ze swej niezręcznej sytuacji.

Uśmiechnąłem się sam do swoich wspomnień. Wtedy widziałem tego człowieka po raz ostatni.

Mój zegarek wydał krótki sygnał na znak, że minęła pełna godzina. Była więc równo dziesiąta – godzina, o której miałem się tutaj punktualnie stawić.

Wstałem z krzesła i bez namysłu otworzyłem masywne odrzwia świetlicy.

Wnętrze sprawiało wrażenie nowoczesnej wersji stalinowskiego pomieszczenia przesłuchań, gdzie rolę jupitera skierowanego na twarz przesłuchiwanego pełniło Słońce, które świeciło zza ogromnego okna spoglądającego spokojnie na plecy śledczych.

Przestępca sam doskonale oświetlony, widział przed sobą tylko zarysy szarych postaci, które ze słońcem w tle wyglądały jak funkcjonariusze służb porządkowych świecący w oczy zatrzymanemu w środku nocy zbiegowi gigantycznym reflektorem.

– Jak się wchodzi, to się puka! – warknął polityk siedzący pośrodku dwóch zestawionych ze sobą kancelaryjnych stołów, zasnutych zielonym zamszem.

Wzruszyłem ramionami.

– Taki szyld na burdelu zrobiłby furorę – zauważyłem pod nosem, rozglądając się spokojnie po pomieszczeniu.

Chyba burknąłem trochę za głośno. Usłyszeli.

– Pan się chyba zapomina – burknął urzędnik siedzący po prawicy centralnie umiejscowionego polityka.

Stary, komunistyczny styl. Świetlicowe stoliki zasłane zielonym suknem, by podkreślić wagę postaci, które za nimi zasiadają. Ze trzy metry przed tym postsowieckim ołtarzem drewniane krzesło dla przesłuchiwanego.

– Gdyby jeszcze przy tym siedzisku stała popielniczka – zauważyłem, nie tracąc humoru, gdy zasiadałem na wprost komisji – szukałbym Pasikowskiego z kamerą i tyłka bym nie posadził, żeby Linda nie stał, jak z mroku wyjdzie.

Nie był to ten rodzaj humoru, który bawiłby trzech członków państwowej komisji.

– Tak się pan zachowuje, jakby pan nie zdawał sobie sprawy z powagi swojej sytuacji – zauważył przewodniczący, otwierając jakieś akta.

Rozpiąłem guzik swojej marynarki i dla pewności jeszcze raz sprawdziłem wzrokiem, czy pod nogami krzesła nie stoi popielniczka.

– Zaczynajmy – zaproponowałem, nie chcąc brnąć dalej w tę niepotrzebną wymianę uprzejmości.

Przewodniczący komisji przewrócił parę kartek z akt, które trzymał w dłoniach. Było to średnio zagrane, bo ogromna, wymiętolona płachta z przygotowanymi uprzednio pytaniami, aż kłuła w oczy, leżąc na stole obok niego.

Polityk odchrząknął i uciekł wzrokiem z akt na kartkę.

– Mam wrażenie, że my się już kiedyś spotkaliśmy – powiedział, udając głupowato, że ledwo to pamięta.

– Tak – przyznałem. – Osiem lat temu oskarżał mnie Pan o utrudnianie sprawowania urzędu Prezydentowi RP. Wedle pana przypuszczeń to ja byłem tym, który uniemożliwił lądowanie Tupolewa w strefie działań wojennych z pięcioma głowami państw na pokładzie.

Mężczyzna odchrząknął, jakby chciał tym zagłuszyć ewentualny ciąg dalszy mojej wypowiedzi.

– Pamiętam – wycedził pospiesznie. – Namieszał pan w głowie pilotowi statku powietrznego, wspierając go w popełnieniu przestępstwa z artykułu 343 paragraf 2 kodeksu karnego polegającym na od-

mowie wykonania rozkazu, wydanego przez Zwierzchnika Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej.

Nasze spojrzenia się spotkały. Przed jego twarzą z potwornym warkotem przeleciała mucha, najbardziej niegodna istota, która mogła się tam w tym momencie pojawić.

Mężczyzna dmuchnął przytomnie, próbując sprężonym powietrzem zmusić ją do zmiany trajektorii lotu.

– Wtedy był pan dla nas… NN – odezwał się ponownie. – Obce mocarstwa chroniły pana do tego stopnia, że nawet nie mieliśmy przyjemności poznania pana z imienia i nazwiska. Dzisiaj jest już nieco inaczej panie… Jarosławie Targosz.

Drgnąłem niespokojnie. Gdyby nazwał mnie Stanisławem Siwek, to już byłoby za dużo, bo nawet moich „roboczych" personaliów znać nie powinien, ale on wymienił moje prawdziwe imię i nazwisko.

– „Obce mocarstwa" to zwrot rodem z czasów Układu Warszawskiego – zauważyłem. – Długo pan hibernował.

Polityk uśmiechnął się nieznacznie.

– Jak każdy polski patriota, który dopiero teraz może budzić się w wolnej Polsce. I nikt mu nie będzie już wmawiał, że musi słuchać rozkazów ze Wschodu, czy z Zachodu.

Wzruszyłem ramionami, zastępując w ten sposób swoją werbalną odpowiedź. Nie przyszedłem tutaj po to, żeby uczestniczyć w jakiejś dyskusji akademickiej na tematy ideologiczne.

Polityk właściwie odczytał moje milczenie, przechodząc dalej.

– Proszę przypomnieć komisji, panie Targosz, jakie zadanie główne jest panu powierzone przez NATO w ramach wykonywania przez pana obowiązków służbowych dla naszej ojczyzny – nakazał.

– Niech pan spyta Jensa Stoltenberga, mojego obecnego szefa – poradziłem.

Polityk potrzebował chwili do namysłu, a ja nie zamierzałem zrobić absolutnie nic, żeby ułatwić mu to przesłuchanie.

– Przypominam panu, że jest pan Polakiem i zeznaje pan przed polską komisją, która jest przedstawicielem polskich władz.

– Problem w tym, że świadomie bądź nieświadomie gwałci pan tą komisją wszelkie międzynarodowe prawa, a samo zaproszenie mnie tutaj wyczerpuje znamiona czynu z artykułu 129 kodeksu karnego.

Przewodniczący komisji nachylił się delikatnie w stronę milczącego dotąd kolegi po swojej lewej stronie. Ten szepnął mu do ucha prawdopodobnie skróconą wersję artykułu prawa, które przywołałem, dotyczącego zdrady dyplomatycznej i działania na szkodę Rzeczypospolitej Polskiej. Pewnie był z całej tej trójki najmądrzejszy, bo po próżnicy nie hałasował.

– Panie Jarosławie – odezwał się przewodniczący z udawanym politowaniem. – Przez ponad pięćdziesiąt lat uczono nas, co jest polską racją stanu. Więc pozwoli pan, że w końcu to my samodzielnie to będziemy definiować, a nie Zagranica.

Nie pozostało mi nic innego, jak wzruszyć obojętnie ramionami, by poczuł się w obowiązku kontynuować swój słowotok. Jak trafnie się domyślił, nie miałem zamiaru odpowiadać na jego poprzednie pytanie.

– Więc może zróbmy inaczej – zaproponował. – Ja będę mówił, a pan niech mnie prostuje jak poczuje pan taką potrzebę, dobrze?

Pytanie musiało być retoryczne, bo nikt z komisji nawet nie udawał, że czeka na odpowiedź.

– Jest pan dyrektorem jednego z tajemniczych departamentów opłacanych z podatków polskich obywateli – odkrył polityk. – I przy okazji bezpośrednim… można tak to nazwać, stróżem Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej.

– Nie jest to wykluczone – zauważyłem głupowato.

Ewidentnie brakowało mu mojego potakiwania po każdym jego zdaniu.

– Komórka, jaką nam podsunęła Zagranica, sprawia wrażenie prozachodniej, jednak pana ostatnia aktywność zastanawia nas, czy nie działa pan bardziej na korzyść Federacji Rosyjskiej, niż na rzecz NATO. Nie jest to w pełni czytelne dla członków komisji, przed którą pan w dniu dzisiejszym stoi.

– Z nas dwojga, to raczej pan bardziej z profilu Lenina przypomina – zauważyłem, wykorzystując chwilę ciszy, jaką mi wymownie pozostawił.

– Pan jesteś bezczelny! – wypalił polityk, na moment tracąc opanowanie.

Szybko się jednak zreflektował, a na jego twarzy wypełzł szyderczy uśmiech obiecujący, że dla dobra kraju zachowa zimną krew już do końca przesłuchania.

– Czy ten fragment mojej wypowiedzi dotyczący pana głównych zadań, jest zgodny z prawdą, panie Jarosławie? – spytał.

Zrobiłem bliżej nieokreślony ruch głową.

– Brakuje mi inteligencji, żeby pojąć pana definicję prawdy, więc przy najlepszych intencjach powiem tylko, że niezależność głowy państwa leży mi na sercu nieco bardziej, niż panu.

– Tak pan twierdzi... – westchnął polityk. – Ale nie jest pan z grona wyborców pana prezydenta, jeśli wolno mi spytać?

Przymknąłem na moment oczy. Poczułem, że gest pilota prezydenckiego Tu–154 M, który przed laty po wyjściu z tego pomieszczenia usiłował się przysłowiowo uszczypnąć w rękę, był ze wszech miar usprawiedliwiony także i dzisiaj.

– A następne pytanie będzie o preferencje seksualne, czy o wiarę? – spytałem.

Polityk otworzył po raz kolejny akta i z nieukrywaną satysfakcją wypalił:

– Pana preferencje seksualne są członkom komisji dobrze znane. W pana biurku znaleziono cały plik zdjęć wielu mężczyzn z otoczenia Pana Prezydenta, którzy również, tak jak i pan, odpowiadają za bezpieczeństwo głowy państwa. Różne są to zdjęcia. Robione często z ukrycia. Rozpięta koszula…

– Piękno męskiego ciała nie na każdego faceta działa w ten sam sposób. Niech pan nie mierzy każdego własną miarą, panie przewodniczący.

Polityk skrzywił się z dezaprobatą, po czym wyjął z foliówki plik zdjęć i zaczął nim nerwowo machać przede mną z odległości trzech metrów. Zdjęcia natychmiast wypadły mu z ręki i rozsypały się po zielonym suknie oraz po podłodze.

– Więc jak mamy to rozumieć? – spytał, usiłując udawać zdrowy rozsądek.

– Głowa państwa jest osobą publiczną. Znam go z setek wypowiedzi, z tysięcy jego dość przewidywalnych reakcji na różne sytuacje i zdarzenia. Nie mam żadnego problemu z odczytywaniem jego planów i zamierzeń, ale bezpieczeństwo prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej zależy nie tylko od grymasów wyżej wymienionego. Zależy ono również od odporności jego otoczenia na wszelkie podszepty z zewnątrz. Więc… wybaczy pan, ale sam zwykłem podejmować decyzję, jak chronić prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i kogo w tym celu fotografować z ukrycia.

Polityk skrzywił się po raz kolejny. Wyraźnie próbował się rozluźnić.

– Więc jesteś pan jak jakiś szaman. Potrzebujesz pan zdjęcia, żeby włamać się do psychiki danego człowieka… Widzi pan, ja jestem człowiekiem mocno stąpającym po ziemi i takie czary-mary raczej mnie nie przekonują.

Zaśmiałem się.

– Mam nadzieję, że to konkluzja końcowa – powiedziałem. – Czy zatem mogę już panów opuścić?

– Nie tak gwałtownie, panie Targosz. Myślałem, że jest pan wojownikiem raczej, a nie stroną kapitulującą.

Wzruszyłem ramionami.

– Z kim mam wojować? – spytałem – Przed kim kapitulować? Pojęcia nie mam o czym pan w ogóle do mnie mówi.

– Miałem nadzieję, że przybliży nam pan w jakiś sposób swoje unikalne możliwości, ale widzę, że... nie ma czego przybliżać?

Wzrok, jakim na mnie patrzył, był mieszaniną lekceważenia i ironii.

– Mam do pana pytanie, panie przewodniczący, mogę?

Polityk zrobił swoje „słodkie oczy”.

– Proszę.

– Czy notatka z tej rozmowy zostanie dołączona do dokumentacji zgodnie z procedurami i jej kopia zostanie przesłana do Kwatery Głównej NATO? – spytałem.

– Oczywiście, panie Targosz. Wszystko u nas zawsze przebiega zgodnie z procedurami – odparł nieszczerze polityk, z dołączonym szyderczym uśmiechem.

Miałem na końcu języka coś o procedurach jego formacji politycznej, ale się w niego ugryzłem. Eskalacja nie była przecież w niczyim interesie.

– Pana wiara jest tu nikomu do niczego niepotrzebna – odezwałem się z humorem. – Ale jeśli pan potrzebuje dowodów skuteczności mojej pracy, zawsze służę pomocą. Niech pan pomyśli o jakimś typowo polskim owocu... No co pan? Awokado? A jakieś zwierzę domowe… Słoń? Pan to masz skojarzenia. Może jakieś typowo polskie danie?

Polityk uderzył pięścią w stół.

– Dość tych sztuczek! – zażądał.

Wybuchnąłem spontanicznym śmiechem.

– Frytki w sosie łososiowym? To ma być typowo polskie danie?

– Akurat pomyślałem o rosole! – wycedził polityk przez zaciśnięte zęby.

Nachyliłem się w stronę tego ich ołtarza i wycedziłem w podobnym stylu:

– Nie. Myślałeś pan o frytkach w sosie łososiowym, tak jak i obydwoje pana koledzy, bo ja sobie tego od was zażyczyłem.

Krótką chwilę ciszy przerwał mężczyzna zasiadający po prawicy polityka:

– Ja pierdolę!

Szybko zakrył dłonią usta, jakby ten gest miał w nie powtórnie wtłoczyć te dwa niechcący wypowiedziane słowa.

– I prosiłbym, żeby to „ja pierdolę" też zaprotokołować – dodałem z humorem. – Żeby pozostał po waszej komisji ślad, że działacie wbrew jej ustaleniom. Niech potomni analizują wasze prawdziwe motywacje, bo mój departament jest właśnie od tego, żeby prezydent nie myślał czyimiś przekazami dnia, a był na tyle samodzielny, na ile sam tak zdecyduje.

Gdybym ufał tylko swoim oczom, musiałbym uznać, że polityk był jedynym z tej trójki, na którym mój pokaz nie zrobił żadnego wrażenia. Wiem jednak, że nie była to prawda. Trochę go przestraszyłem, co spowodowało, że w plan przeprowadzenia tej rozmowy wdał się chwilowy chaos.

Mężczyzna przeszedł do improwizacji.

– Tym bardziej mnie dziwi – powiedział z nutą zawodu w głosie, – że Prezydent nie może liczyć na tę pańską komórkę w czasie… swoich słabszych chwil…, że się tak oględnie wyrażę.

– Ta moja komórka nie jest od tego, żeby w czasie nocnych czatowań prezydenta z wyborcami utrudniać mu, jak pan to kiedyś wyraził, sprawowanie urzędu.

– Dość powiedziałem! – mężczyzna po raz kolejny uderzył pięścią w stół.

– I to na wasze wyraźne życzenie – kontynuowałem. – Gdybym nie wziął sobie je głęboko do serca, nasze kolejne spotkanie odbyłoby się już dwa lata po pierwszym, a pan wyłby wtedy z oburzenia, że Prezydent przez takich, jak ja, nie przybył punktualnie do Katynia na zaplanowane uroczystości rocznicowe.

… i pięść przewodniczącego uderzyła w blat po raz kolejny, tym razem z takim już hukiem, że producent mebla z miejsca nabył prawa do odznaczenia państwowego za wybitne zasługi dla kraju w dziedzinie jakości produkcji.

– Do brzegu – zaproponowałem spokojnie.

Przewodniczący komisji odchrząknął niczym sędzia szykujący się do wygłoszenia wyroku. Odzyskał spokój ducha w iście sportowym tempie.

– Niestety muszę panu zakomunikować, że pierwszy obywatel Rzeczypospolitej Polskiej nie widzi możliwości dalszej współpracy z departamentem, co do którego lojalności i zamiarów nie ma żadnej pewności, czy organ ten rzeczywiście działa w wyłącznym interesie polskiej racji stanu.

Słońce zza jego pleców nie przeszkadzało mi, żeby dostrzec szyderczy uśmieszek na jego twarzy.

– A co na to sam prezydent? – spytałem niewinnie, gasząc jego uśmiech.

– Pierwszy obywatel Rzeczypospolitej Polskiej – zawył polityk, święcie przekonany, że jego podniesiony ton pokona szyderstwo ukryte w moim pytaniu – jest jednocześnie świadomy różnego rodzaju zagrożeń, jakim musi przeciwdziałać współczesny kontrwywiad, więc odmawiając kontynuowania tego rodzaju misji pod banderą NATO, nosi się z zamiarem powołania naszego rodzimego, polskiego odpowiednika departamentu natowskiego, który pan reprezentuje.

– Chcecie nas przejąć, odcinając się od niezbędnej nam koordynacji w ramach sojuszu – powiedziałem z niedowierzaniem.

– Gierki słowne są tu naprawdę nie na miejscu – uśmiechnął się mężczyzna, niewiele sobie robiąc z mojej uwagi. – Decyzja już zapadła. Jeśli chcesz pan nadal pracować dla Polski, prezydent widzi pana na tym samym stanowisku, ale polecenia będziesz pan dostawał od nas, a nie od Zagranicy, jak miało to miejsce do tej pory.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

– Zdaje sobie pan sprawę z konsekwencji takiego działania? – spytałem. – Właśnie nasze departamenty są w trakcie rozwijania dodatkowych struktur, dołączając do defensywy również agresywne działania wywiadowcze, skierowane przeciw zakusom Federacji Rosyjskiej. Polski Departament Theta jest kluczowym elementem tej strategii. Ja sam jestem w trakcie pozyskiwania jednego z lepszych światowych specjalistów…

– … A pod polską flagą będzie pan miał związane ręce, panie Targosz? – spytał polityk ironicznie.

Wstałem z krzesła.

– W specyficzny sposób pan chcesz połączyć polski interes ze strukturami NATO – zauważyłem. – Niebieskie barwy Paktu chcesz pan włożyć między nasze barwy narodowe. Niech się pan nad tym dobrze zastanowi z kolegami, jaka flaga z tego powstanie.

Rozdział 2 – Elita wśród elit – Edek

Tej nocy kompletnie nie mogłem zasnąć. Przewracałem się z boku na bok, co chwilę napawając się myślą, że jutro o tej porze będzie już wszystko wiadome.

To z pewnością będzie najważniejszy dzień w moim życiu. Nie wiem, czy najszczęśliwszy… ale na pewno najważniejszy.

Już sam fakt, że mnie wybrano, sprawiał, że było to moje życiowe osiągnięcie. Mniejsza już z tym, jak to się skończy.

Przed oczami wyobraźni stanął mi film „Armagedon" z Bruce'em Willisem. On tam też z całej branży wiertniczej świata był najlepszy. Rząd Stanów Zjednoczonych rozumiał, że z całej światowej elity tej branży on właśnie jest Numerem Jeden.

Czy tak o mnie właśnie myślał rząd mojego kraju? Czy ja jestem ich Numerem Jeden?

Byle kogo by przecież nie wołali.

– Jesteście z NASA – krzyczał mi w głowie Bruce Willis. – Jesteście najmądrzejszymi ludźmi na Ziemi!

Za coś chciał ich ochrzanić, ale nie pamiętałem, za co.

To był już jakiś niekontrolowany galop myśli. Przecież ja nie będę krzyczał z jakimiś pretensjami do swoich jutrzejszych pracodawców.

Ze zmęczenia mieszało mi się już w głowie. Jeszcze godzina bezsenności, a zacznę układać plan, do czego się przyczepić i jakie warunki stawiać ludziom, którzy spośród ogromu takich jak ja, wybrali, nie wiedzieć czemu, właśnie mnie.

Niedorzeczność, jak apetyt rośnie w trakcie jedzenia…

Zadzwonił budzik, gwałtownie wyrywając mnie ze snu o bezsenności.

„Więc jednak trochę spałem" – zreflektowałem się, unosząc głowę znad poduszki.

Było jak zwykle. Wieczorem człowiek ma siłę góry przenosić, a z rana jest taki malutki, że niemal się wstydzi, że w ogóle istnieje i powietrze nieprawnie zużywa, nie przedstawiając dla świata żadnego pożytku.

Ale… chyba nie ja. Nie powinienem tak o sobie myśleć! Ja jestem użyteczny. Jestem potrzebny i dysponuję z pewnością takimi umiejętnościami, jakich nie mają w zanadrzu inni, do mnie podobni.

To była absolutna elita wśród elit. Właściwie to... nie. Jeszcze nikt nigdy z mojego grona nie był wybrany do tak odpowiedzialnej i prestiżowej pracy. To się nigdy wcześniej nie zdarzało.

Nie wiem, jak dotarłem we wskazane mi miejsce. Na wszelki wypadek pojawiłem się o godzinę wcześniej. Tyle przecież rzeczy mogło się wydarzyć po drodze. Tyle fatalnych zbiegów okoliczności i zdarzeń mogło stanąć między mną a moim największym marzeniem.

Uśmiechnąłem się sam do siebie. To tak naprawdę przecież wcale nie było moje marzenie. Aż o tak wielkich rzeczach żaden z nas nie odważył się chyba nigdy marzyć.

Do budynku nie wchodziło się tak z marszu, tak... z ulicy. Na parterze był jakiś siwy funkcjonariusz za szybą, i to do niego trzeba było podejść z kartką, jaką dostałem.

Wszelkie dylematy, jakie wcześniej rozstrzygały się w mojej głowie, na temat konieczności zapamiętania, gdzie mam iść i którędy, też okazały się niepotrzebne.

Miałem zaczekać, aż ktoś po mnie zejdzie, odbierze mnie i zaprowadzi, gdzie trzeba.

Czekałem długo, chyba z godzinę, choć zegarek mówił, że było to tylko pięć minut. Może i tak było, a ja z nerwów odczuwałem to inaczej.

Powędrowałem za jakimś młodym człowiekiem w spodniach od garnituru i białej koszuli, z której kieszeni napiersnej zwisała plakietka z imieniem, nazwiskiem i funkcją.

Miałem świadomość, że to mogło być tak tajne, że nawet nie miałem odwagi zawiesić tam wzroku ani na chwilę.

Mój przewodnik zaprowadził mnie do niewielkiego przedsionka z ławą i wieszakiem przy oknie. To była taka poczekalnia przed gabinetem, na którym nie było żadnego napisu. Z boku był tylko numer 34.

Usiadłem na tej ławie. Czułem, jak mi się nogi trzęsą ze strachu i z emocji. Zaraz wejdę na rozmowę kwalifikacyjną...

– Nie – pokręciłem głową z przekonaniem. – Ja się do tego na pewno nie nadaję. Dwa, trzy pytania i leżę! To się nie może udać!

Nie ma sensu się ośmieszać. Sama wizyta tutaj w poczekalni to już osiągnięcie, którym nie będzie się mógł pochwalić nikt z grona moich znajomych.

Na tym trzeba poprzestać i wyjść, zanim się publicznie skompromituję. W głowie mam przecież całkowitą pustkę.

Sam już nie wiedziałem, czy to głupota, czy racjonalne myślenie, poparte zdrowym rozsądkiem… Wstałem i zdecydowanie obróciłem się na pięcie, żeby stąd uciec.

To nie dla mnie. Kogo ja będę oszukiwał?

– Pan Edmund Skiba? – usłyszałem pytanie zadane zdecydowanym, kobiecym głosem dochodzącym od strony drzwi, spod których planowałem właśnie uciec.

Zbiegło się to akurat z moimi najnowszymi dylematami i pytaniem, czy mogę w ogóle stąd tak po prostu uciec i czy ten groźny urzędnik na dole wypuści mnie bez przewodnika z plakietką?

– Nieee – skłamałem z pełnym przekonaniem, obracając swoją zdumioną twarz.

– Nieee? – uśmiechnęła się kobieta przyjaźnie, zapraszając mnie gestem do pomieszczenia.

Przełknąłem głośno ślinę. Może to tylko jakaś asystentka, której nikt nie spyta, co tu się właśnie wydarzyło przed chwilą.

Spuściłem głowę i z rosnącym przerażeniem skierowałem się w stronę gabinetu.

To było średniej wielkości pomieszczenie z dwoma biurkami pod dwoma przeciwległymi ścianami. Gdyby to ode mnie zależało, w życiu tak nie ustawiłbym tych biurek.

Musieli się tam niedawno wprowadzić, bo na obydwu biurkach były te same gadżety. Segregator biurkowy z drewna na trzy przegródki dokumentów w poziomie i dwie w pionie oraz jeżyk z niemal taką samą liczbą przezroczystych długopisów z niebieską zatyczką.

Gdyby to nie było na świeżo, byłoby tam więcej osobistych rozwiązań zastępujących schematy narzucone odgórnie.

Pod biurkiem prawym stało jeszcze proste drewniane krzesło dla petentów. Pod lewym takiego nie było, więc tylko jeden urzędnik z tych dwóch stanowisk przyjmował interesantów.

Za tym biurkiem przy prawej ścianie siedział jakiś starszy urzędnik w jasnoniebieskim garniturze. W klapie na chusteczkę, zamiast niej miał brakujący w swoim jeżyku niebieski długopis przezroczysty.

– Proszę sobie usiąść, panie Edku – zaproponował i wskazał mi krzesło, na które przed chwilą patrzyłem.

Usiadłem. Zadziałało to bardzo uspokajająco dla moich roztelepanych nogawek spodni. Nieśmiało uniosłem wzrok na urzędnika. Minę musiałem mieć nienaturalnie przerażoną, bo uśmiechnął się przyjaźnie, nie dając mi odczuć, że widzi, w jakim jestem stanie.

– Chciałby pan dla nas pracować – odezwał się dziwnie przyjaznym tonem. – A co pan potrafi, panie Edku, jeśli wolno spytać?

To najprostsze pytanie, jakiego można się było spodziewać. Jak odpowiedź wklepałem niemal na blachę, nie miałem jeszcze świadomości, w jakim stanie emocjonalnym przyjdzie mi to deklamować. Oni potrzebowali naprawdę ludzi z najwyższej półki.

– Umiem wykonywać porządek na biurku – wyrecytowałem łamiącym się głosem, – segregować dokumenty z nagłówkami tak, żeby było… dobrze, umiem schować dokumenty do segregatora jak mi ktoś powie, jaki ma mieć kolor, umiem nałożyć papier do drukarki…

Zamilkłem na chwilę, a w mojej głowie przeraźliwie zawył jakiś głos, który wcześniej niesłusznie zignorowałem.

„Boże… żeby ten pan tylko nie szukał dziury w całym – usłyszałem. – Czy jak kilka kartek zostało w zasobniku, to czy należy je wyjąć, czy na nie położyć nową porcję papieru?!”.

Miałem przed rozmową o to spytać kogoś, kto by to wiedział. Strasznie nonszalancko się zachowałem, nie drążąc do końca tego ważnego tematu. Teraz, to już za późno.

– A czy umie pan też niszczyć dokumenty? Bo szukamy właśnie kogoś, kto potrafiłby przepuszczać przez niszczarkę tony niepotrzebnych dokumentów? – zaskoczył mnie urzędnik.

Miałem umysł dziwnie jasny. Od razu skojarzyłem mamę i jej przekonanie, że w niszczeniu różnych przedmiotów i ubrań to ja jestem po prostu mistrzem.

– Wykonuję niszczenia również – powiedziałem poważnym tonem. – I to w sposób... dość jednoznaczny.

Urzędnik spojrzał na mnie nieco zdumiony. Razem z tą panią, która mnie tu wprowadziła, był teraz trzecią osobą w tym pomieszczeniu, która kompletnie nie wiedziała, co to miałoby oznaczać.

– Rozumiem – odparł, nie pytając na szczęście, co miałem na myśli, wprowadzając podział na niszczenia jednoznaczne i niejednoznaczne. – A ma pan ze sobą orzeczenie?

Poczułem, jak adrenalina uderza mi w skronie. Może gość się zajmie studiowaniem mojego orzeczenia o niepełnosprawności i nie spyta jak w praktyce dołożyłbym papier do drukarki?

– Mam – powiedziałem pospiesznie, wyjmując dokument z foliowej okładki.

Szybko położyłem go przed nim. Ma się ten refleks! Gdybym mu go podał i czekał, aż go sam odbierze, mógłby go nigdy nie otrzymać, bo… weź go odbierz od kogoś, komu tak bardzo telepały się ręce.

– Stopień lekki – wyszeptał urzędnik, kiwając głową.

– Tak – przyznałem ze znawstwem.

Oby takich pytań więcej, a wtopa z drukarką dzisiaj mi nie grozi.

– No cóż, panie Edmundzie… – urzędnik wymownie wzruszył ramionami i wstał.

Przeczuwałem, co to oznacza. Szybko poszło. Dokładnie tak jak się podświadomie spodziewałem. Wyjątkowo mocne zdarzenie w moim życiu. Będę miał co opowiadać do późnej starości, a i tak niewielu mi pewnie uwierzy, że tu w ogóle byłem.

I tak kolegom powiem, że siedziałem tu bite trzy godziny. Niech wiedzą, że ja nie jestem byle kim…

– Witamy na pokładzie! Zacznie pan od poniedziałku – dokończył urzędnik, kompletnie nieświadom znaczenia dla mnie jego słów.

Poczułem, jak cała krew napływa mi do głowy, a włosy stają mi dęba. Przez chwilę byłem pewny, że coś źle zrozumiałem, ale uśmiech mężczyzny i ta wyciągnięta do mnie dłoń… to nie wyglądało jak jakieś pożegnanie.

Zatyczkę na długopisie w klapie marynarki miał lekko zgryzioną. Mama była w podobnym wieku, co on i już nie gryzła, bo mówiła, że zęby ją bolą.

– Znaczy, że… tu? – wymamrotałem, nie mając zielonego pojęcia, co mówię.

– Pani Leokadia wyjaśni panu wszystkie szczegóły – powiedział urzędnik, wskazując kobietę, która przed paroma minutami powstrzymała mnie przed ucieczką.

Pani Leokadia siedziała przy sąsiednim biurku i nie robiła chwilowo nic, choć przed nią leżała kartka zapisana pismem odręcznym do połowy, a połowa jeszcze była pusta i można tam było jeszcze sporo napisać.

Mój sparaliżowany umysł zarejestrował to niejako przy okazji. Nie pamiętam, jak mnie pani Leokadia wyprowadziła. Z tego miliona spraw, jakie mi przez kolejne minuty wyjaśniła, zarejestrowałem tylko tyle, że najważniejsze, co muszę wiedzieć, to to, że wszystko, co najważniejsze będę miał zapisane na tej kartce, która początkowo leżała na jej biurku.

I po kilkunastu minutach największego szoku, jaki w życiu przeżyłem, stanąłem z tą ważną kartką zapakowaną w przezroczystą okładkę,

w której przyniosłem wcześniej swoje orzeczenie o niepełnosprawności przed gmachem mojego przyszłego… miejsca pracy.

Nie wiem, jak to zrobiłem, ale właśnie zostałem zatrudniony w służbach specjalnych Rzeczypospolitej Polskiej, i to bez praktycznego sprawdzenia umiejętności dokładania papieru do drukarki laserowej.

Choćby się wkrótce okazało, że moje umiejętności biurowe są jednak niewystarczające, to przecież już do końca życia będę mógł ludziom opowiadać, że byłem jak niegdyś James Bond…

I będzie to czysta prawda!